

Małgorzata Kowalska

Wspomnienie

Ani jako człowiek, ani jako myślicielka, Barbara Skarga nie poddaje się łatwym klasyfikacjom. Nigdy nie należała do żadnej filozoficznej „szkoły” (nawet jeśli jej wczesne prace jakoś mieszczą się w bardzo skądiną nieprecyzyjnej formule „warszawskiej szkoły historyków idei”), nie zajmowała się też w sposób systematyczny i trwały jakimś wyróżnionym działem filozofii. To prawda, że zarówno problemom teoriopoznawczym, jak i etycznym poświęcała sporo uwagi, ale nie wskazuje na to, by filozofia sprowadzała się dla niej do epistemologii i etyki. Jeśli w jej myśleniu można zaobserwować jakąś ewolucję, to polegała ona chyba przede wszystkim na odchodzeniu od analiz historycznofilozoficznych w stronę coraz bardziej swobodnej i bezpośredniej medytacji nad problemami, które zwykło się nazywać metafizycznymi: tożsamość i różnica, obecność i ślad, sposób istnienia „ja”, relacja z innym, problem czasu, problem zła...

Chociaż w swoim okresie historycznofilozoficznym poświęciła wiele uwagi pozytywizmowi i jego przekształceniom, sama z pewnością nie była filozoficzną pozytywistką. Wielokrotnie krytykowała scjentystyczne pojmowanie rozumu i racjonalności, dystansowała się też wyraźnie wobec myślenia zorientowanego tylko na fakty. Była zwolenniczką rozszerzonej i na swój sposób dialektycznej idei rozumu: rozumu, który w zadawaniu pytań i tworzeniu pojęć wykracza poza to, co obserwowalne, a zwłaszcza poza to, co mierzalne, ale który musi również stale konfrontować się z szeroko rozumianym doświadczeniem, by nie popaść w dogmatyzm, nie przekształcić się w swoje przeciwieństwo. Ceniła sobie, by nie powiedzieć: kochała bezinteresowność myślenia abstrakcyjnego (często porównywała filozofię do matematyki, w czym odzywało się jej *primo voto* ścisłe wykształcenie), świat czystych pojęć, w których, chociaż nie była religijna, skłonna była widzieć triumf ducha nad ciałem – i to, jak mówiła, niezależnie od tego, czy pojęcia miałyby oznaczać idee w sensie platońskim, czy też być tylko tworem ludzkiego umysłu. Ale zarazem była szczególnie wrażliwa na możliwe niebezpieczeństwa związane z arbitralnymi konstrukcjami intelektualnymi. Piękno pojęć, a zwłaszcza ich syste-

mu nigdy nie przesłaniało dla niej egzystencjalnego konkretności. Można by rzec, że inspiracja platońsko-hegłowska walczyła w niej o lepsze z inklinacją egzystencjalną i realistyczną. I jakoś udawało jej się zachować między nimi równowagę.

Nie miała złudzeń co do ludzi („człowiek to nie jest piękne zwierzę”); nie miała ich też co do filozofii, najwyraźniej nie wierząc, by ważne pytania – których nie wahała się nazywać metafizycznymi – miały się kiedykolwiek doczekać wiążących odpowiedzi. Ale też często powtarzała, iście po Pascalowsku, że cała wielkość człowieka tkwi w myśleniu. I że ostatecznie najwyższym przejawem dostępnego nam myślenia jest umiejętność stawiania problemów i zadawania pytań.

Wiele wskazuje na to, że spośród różnych filozoficznych „szkół” czy stylów myślenia najbliższa (w każdym razie w ciągu ostatnich, bo ja wiem, może 30 lat) była dla niej nieortodoksyjnie pojmowana fenomenologia. Bardzo dobrze знаła Husserla, Heideggera i Levinasa. Ale we własnych filozoficznych refleksjach nawiązywała do nich swobodnie, nie tyle respektując takie czy inne ich ustalenia, ile zachowując ogólny postulat, by przy rozważaniu kwestii, które uznawała za ważne lub wręcz podstawowe, odnosić się – także, jeśli nie przede wszystkim – do pewnego rodzaju intuicji i egzystencjalnego doświadczenia. Znacznie bardziej niż jej fenomenologiczni mistrzowie była przy tym wrażliwa na ambiwalencję tego doświadczenia i na raczej problematyczny niż apodyktyczny charakter intuicyjnych wglądów.

Z pewnością była odporna na intelektualne „mody”. Nigdy jednak *a priori* nie lekceważyła nowych trendów w myśleniu. Na seminarium, którego byłam uczestniczką od 1986 roku, poświęciliśmy sporo czasu na studiowanie myślicieli zwanych poststrukturalistami lub postmodernistami. Do myśli Derridy, a zwłaszcza Deleuze’a i Lyotarda miała stosunek sceptyczny (twierdząc w sumie, że to, co w niej wartościowe, nie jest naprawdę nowe, a emfaticzna przesada w dekonstruowaniu tradycyjnych pojęć i wartości jest i niepoważna, i niebezpieczna), ale na pewno wolny od uprzedzeń.

Pani Profesor lubiła dyskutować o filozoficznych problemach – świadczy o tym organizowanie przez nią przez wiele lat seminarium, w których mniej lub bardziej systematycznie brali udział bardzo różni ludzie, zarówno „metafizyczni poeci”, jak i „twardzi analitycy”. I tak jak sam zestaw uczestników tego seminarium świadczył o skali jej filozoficznych zainteresowań i kompetencji (była dobrze zorientowana w stanie współczesnej nauki i miała duży dar precyzyjnej analizy, a jednocześnie zrozumienie dla „nienaukowych” aspektów myślenia), tak jego wieloletnia trwałość i atrakcyjność może być dowodem jej sokratycznych umiejętności. A jednak tylko po części (i to chyba mniejszej) była myślicielką wyzywającą się w dyskusji i żywym dialogu. Była także i w gruncie rzeczy przede wszystkim człowiekiem pisma. I w istotnym sensie samotnicą. Nawet ci, którzy, jak ja, obcowali z nią przez wiele lat, nie mają poczucia, że naprawdę dobrze

ją znali. Chociaż z wiekiem coraz więcej mówiła, a nawet pisała o sobie, i dawała coraz bardziej bezpośredni wyraz swoim poglądom, do końca zachowała dystans i sekret – nie tylko jako człowiek, także jako myślicielka.

Nie sądzę, by chciała być w jakiś szczególny sposób zapamiętana. Była na to jednocześnie zbyt skromna i zbyt dumna. Myślę, że najprędzej życzyłaby sobie, by zapamiętano ją – w miarę możliwości – taką, jaką była, w całej ludzkiej i intelektualnej złożoności. Bez cukrowania i modelowania. Ci, którzy ją znali, a choćby tylko czytali, wiedzą, że tyle z powodzeniem wystarczy, by poczuwać się wobec niej do ogromnego długu.